NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata w Polsce: Kwartalnie K. 37·40! Półrocznie K. 74·80. Rocznie K. 149·60.

Zmiana adresu 1 koronę.

Ceny ogłoszeń: za wiersz petitowy jednoszpaltowy na ostatniej stronie 2 kor., na miejscu specyalnie zastrzeżonem kor. 2·80 za wiersz nonparelowy jednoszpaltowy 4 kor., za wiersz petitowy w części redakcyjnej 10 kor.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA I ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV.
ulica Kazimierza Wielkiego L. 95

Telefon Nr. 478.

Naczelny redaktor: Wincenty Korolewicz.

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Legionów 21.

W Warszawie do nabycia wszędzie. **Łódz, Piotrkowska 62.**

Numer pojedynczy 3 korony.

Rok XVII. Kraków, 15. lutego 1920. Nr. 7.

Uroczystość Zjednoczenia Ziem polskich.



Wieńce złożone pod pomnikiem Kopernika na podwórzu bibliotek...

Od Administracji.

W siódmym numerze „Nowości Illustrowanych“ zaszła pomyłka drukarska co do ceny pojedyńczego egzemplarza, za którą P. T. Czytelników przepraszamy. Cena numeru „Nowości Illustrowanych“ pozostaje niezmienioną.

Uroczystość Zjednoczenia ziem polskich w Krakowie.

Po latach wytęsknionych, zda się wiekach kajdan i żmudnych trudach, po oczekiwaniu, nadszedł wreszcie ten radosny dzień, w którym żołnierz polski stanął nad brzegiem morskim.

Dzień zjednoczenia...

I cała Polska patrzy w srebrne fale, które poszumem witalnych dzwonów idą w dal i hejnałem święto rozbrzmiewają z wirchów tatrzańskich. Dzwony uderzyły w granitowe ściany skał i powstało gorączkowe życie. Wśród ośnieżonych gór, roziskrzonych w mgłach dyamentów, stanął rycerz i rzucił wielkie słowo, że „Już się stało“.

Zachrzęściły skrzydła i popłynęła szeroką falą płowych zbórz pieśń z nad grunwaldzkich pól.

Boga Rodzica dziewica...

To Chrobrego śpiący rycerze, których duch szedł dotychczas wśród legionów Dąbrowskiego, a potem Piłsudskiego wstali na południowych kresach ziem polskich. Szedł w żelazo zakuty hufiec i stanął na tatrzańskich iglicach jak stalowy mur i uderzyli w złote dzwony naszych gór. Zagrała muzyka Tatr i po całej Polsce rozeszła się radosnem upojeniem i złączyły się dłonie polskiego morza i tatrzańskich rycerzy i zabito słupy graniczne tam w modrych falach morskich, tu na ośnieżonych szczytach. Symbol zjednoczenia i symbol zgody, łączności.

* * *



Uroczystość Zjednoczenia Ziem polskich: Świat naukowy i wojskowość zebrani przed pomnikiem Kopernika biblioteki Jagiellońskiej.



Uroczystość Zjednoczenia Ziem polskich: Wojskowość na promie podczas przemowy dr. Lubeckiego.

Do zgody i łączności nawoływał prezes Akad. Umiejętności prof. Morawski zebranych na podworcu zamku wawelskiego. Do łączności tak jak dziś łączą się z macierzą wszystkie ziemie. Precz z waśniami stronniczemi. Polska musi być jedną partyą i warsztatem jednowytycznej pacy.

Słowa te, wypowiedziane do licznie zebranych reprezentacyi wojska, delegacyi miasta i stowarzyszeń połączyły wszystkich łańcuchem świadomości, że tylko pracą możemy się budować i że tytułem tej pracy musi być zgoda i łączność.

Spokojny i uroczysty nastrój owionął wszystkich i kiedy później uformował się wielki pochód, zdążający ku Wiśle, w sercach pozostała ta przysięga, jaką tam wśród duchów królewskich złożono.

* * *

Rozwinął się długi wąż pochodu, na czele którego szły reprezentacye konsystujących pułków w Krakowie, potem młodzież szkolna, delegacye i reprezentacye. Wszyscy skierowali się na plac na grobiach, nad Wisłą, gdzie rzucono wianki, wznawiając w ten sposób dawną tradycyę. Wianki są symbolem łączności między Krakowem a Gdańskiem, to też była to uroczysta chwila, kiedy wysłano te wici ku odzyskanemu morzu.

Następnie udano się na podwórze biblioteki Jagiellońskiej, gdzie zebrał się świat naukowy i wojskowość i liczna publiczność. Po przemówieniu rektora Estreichera w imieniu uniwersytetu Jagiellońskiego, wystąpił rektor uniwersytetu wileńskiego, dr. Siedlecki, łącząc się z ogólną radością całej Polski. Nie wszystkie ziemie Polski dziś mogą się połączyć w tym uroczystym dniu. Tam na wschodzie jeszcze nie nadeszła chwila, ale wszyscy czekają dnia Zmartwychwstania. Słupy Chrobrego na Dnieprze jeszcze nie wyznaczają naszych granic, to też rektor Siedlecki choć w ten sposób łączy Wilno złotemi nićmi z macierzą. Następnie przemówił dr. Romer w imieniu uniwersytetu Jana Kazimierza i Tow. im. Kopernika, składając od Lwowa przysięgę na wierność Polsce, którą wielki duch Kopernika reprezentuje. Pod pomnikiem wielkiego uczonego polskiego złożono wspaniały wieniec.



Uroczystość Zjednoczenie Ziem polskich: Na promie podczas puszczania wianków.



Uroczystość Zjednoczenia Ziem polskich: Czoło pochodu.

Pożar lotniska we Lwowie.

Dnia 4 lutego o godzinie 7 wieczorem wybuchł olbrzymi pożar w okolicy zachodniej parku lotniczego na janowskich błoniach, w miejscu gdzie stoją hangary i warsztaty lotnicze.

Ogień, który z czasem zmienił się w morze płomieni, ogarnął początkowo kuźnie, a potem przy silnym wietrze zachodnim objął dwie hale drewniane, długie po 50 metrów, a szerokie na 15 metrów. W halach mieściły się warsztaty. Wkrótce ogień przerzucił się na cztery inne budynki i na pompę elektryczną.

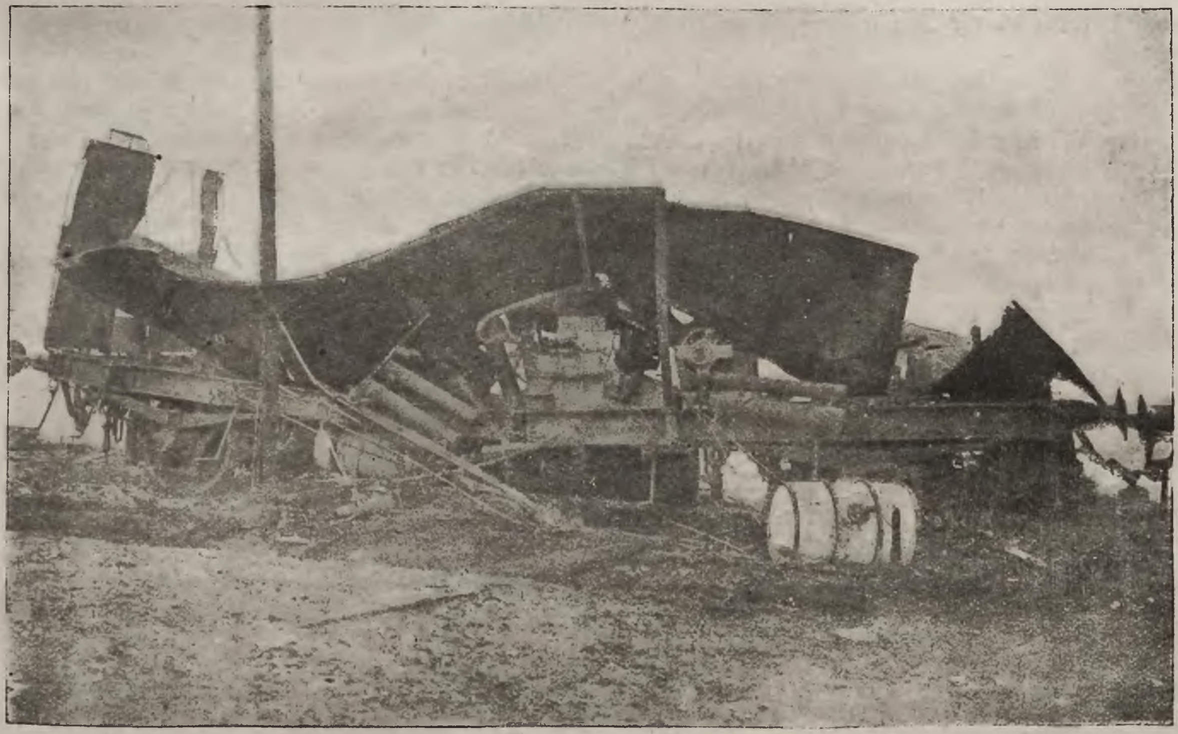
Akcya ratunkowa mimo olbrzymich wysiłków i nadzwyczajnych utrudnień szła energicznym krokiem. Mimo to zlokalizowanie szkód nie osiągnęło pomyślnych rezultatów. Hale z warsztatami, urządzeniem i magazynami, spłonęły doszczętnie, pociągając za sobą milionowe szkody.

Dzięki usilnej pracy oddziałów wojskowych i straży pożarnej ocalono wszystkie hangary z samolotami, hale automobilowe, magazyn pomp i baraki dla żołnierzy wraz z gmachem kancelaryjnym, zawierającym wiele ważnych dokumentów.

Kiedy rozbierano magazyn prowiantowy celem zlokalizowania pożaru, tłumy rzezimieszków rzuciły się do rabunków. Przeszkodziło temu energiczne wystąpienie Legii kobiecej, która przy akcyi ratunkowej zachowała się nadzwyczaj dzielnie.



Pożar lotniska we Lwowie: Warstaty po pożarze



Pożar lotniska we Lwowie: Spalona dynamo-maszyna.

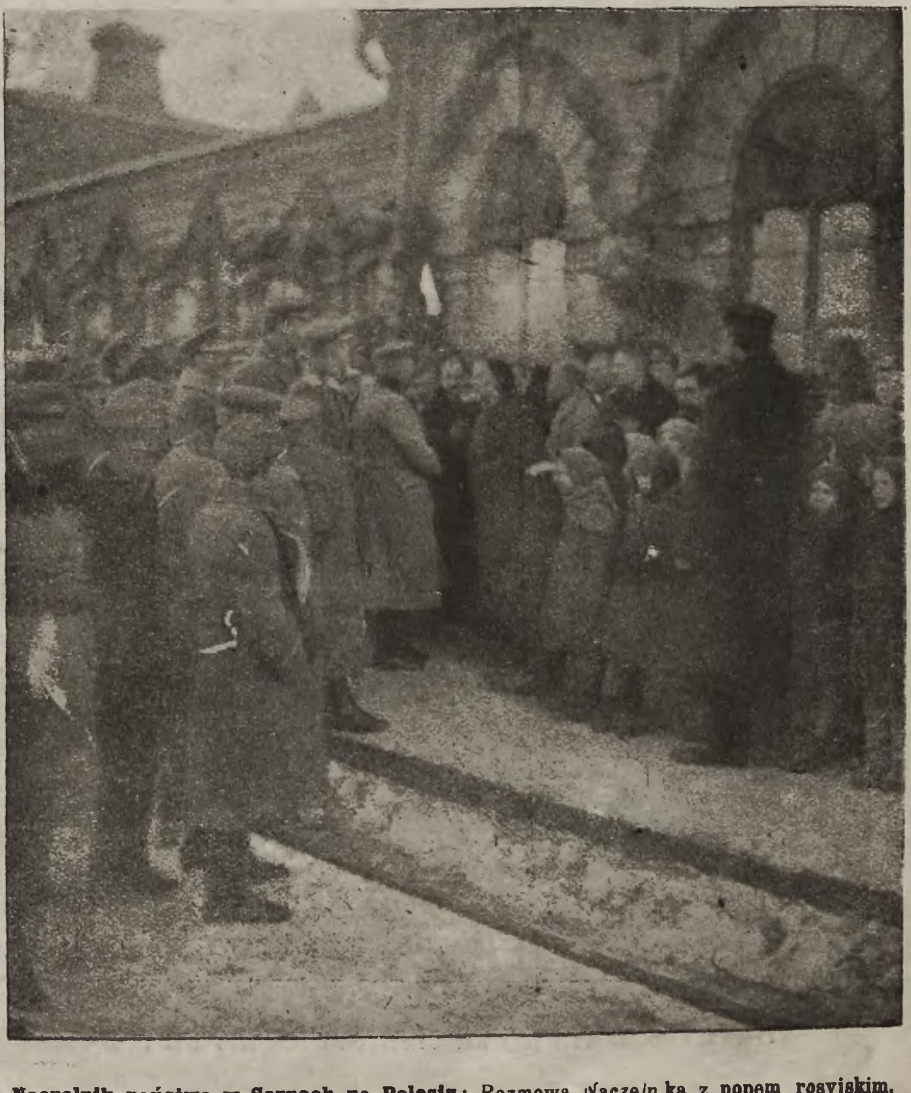
Naczelnik w Sarnach na Polesiu.

Zwiedzenie frontu naszego na wschodzie przez Naczelnika państwa było dowodem, że ziemie zajęte przez nas nie silną pięścią, ale dobrowolnie garną się do nas. Naczelnik równocześnie zwiedzał miejscowości niedawno zajęte, witany wszędzie entuzyastycznie przez tameczną ludność. Na każdym kroku potykano się z entuzyazmem i gorącym wyrazem łączności. Przekonano się, że ziemie na Wschodzie nie są skrawkiem, który chcemy *per fas et nefas* zagarnąć, ale tam rozumie się, że Polska z bratnią dłonią tam idzie.

W Sarnach Naczelnik spotkał się z licznemi dowodami gorącej sympatyi. Przemówił do niego ksiądz rosyjski, zapewniając, że lud rosyjski uważa w Polsce brata i wybawiciela i pragnie, aby przyłączono ich do Polski. W dzisiejszej chwili, w której sprawa pokoju z bolszewikami jest na porządku dziennym, jest to wskaźnikiem, że powinno się stawiać z warunkami zdecydowanemi i nie zapominać o tem, że pokój dla nas nie jest wypadkiem konieczności.



Naczelnik państwa w Sarnach na Polesiu: Naczelnik państwa w gronie oficerów 20 p. p.



Naczelnik państwa w Sarnach na Polesiu: Rozmowa Naczelnika z popem rosyjskim.

Pierwsze posiedzenie Ligi Narodów.

Szesnastego stycznia o godz. 10 rano w Sali Zegarowej ministra spraw zagranicznych odbyło się posiedzenie Związku Narodów. Dzień ten jest podwójnie ważny: po pierwsze, ponieważ posiedzenie Związku jest spełnieniem i tryumfem idealizmu, a wreszcie znamiennym jest fakt, że Stany Zjednoczone nie były obecne.

Pierwsze posiedzenie zainicyował Wilson. Prace swoje jednak w tym kierunku prowadził jedynie w swojem imieniu, a nie jako delegat Ameryki. Starano się ten fakt zatrzeć i w tym celu na życzenie „związkowych" posiedzenie miało się odbyć w pełni wystawy.

W sali zgromadził się cały szereg dyplomatów i parlamentarzystów. Grecya, Dania, Szwecya, Norwegia, Szwajcarya, Siam i inne narody wydelegowały swoich ministrów. Pierwsze miejsce wyznaczono dla Clemenceau, Lloyd George'a i Nittiego, którzy jednak mając w tej chwili ważne narady, nie mogli być obecni. Sam Lloyd George pojawił się na krótki czas w głębi sali. Na jego miejsce przyszedł Lord Grey, dawny angielski minister spraw zagranicznych, którego zaprosił L. Bourgeois jako członka honorowego, za zasługi jakie położył dla sprawy Ligi Narodów.

Wedle porządku dziennego przystąpiono przedewszystkiem do wyboru prezydenta związku. Na propozycyę Venizelosa, za poparciem lorda Curzona, wybrano L. Bourgeois. Prezydent podziękował i otworzył posiedzenie. Upłynęło w ten sposób półtorej godziny, ponieważ wszystkie mowy francuskie musiano tłumaczyć na język angielski i odwrotnie. Powolności przebiegu posiedzenia nie należy się dziwić, ale raczej musi się dziwić, że dwoma językami potrafiono się porozumieć przy budowie tej wieży Babel.

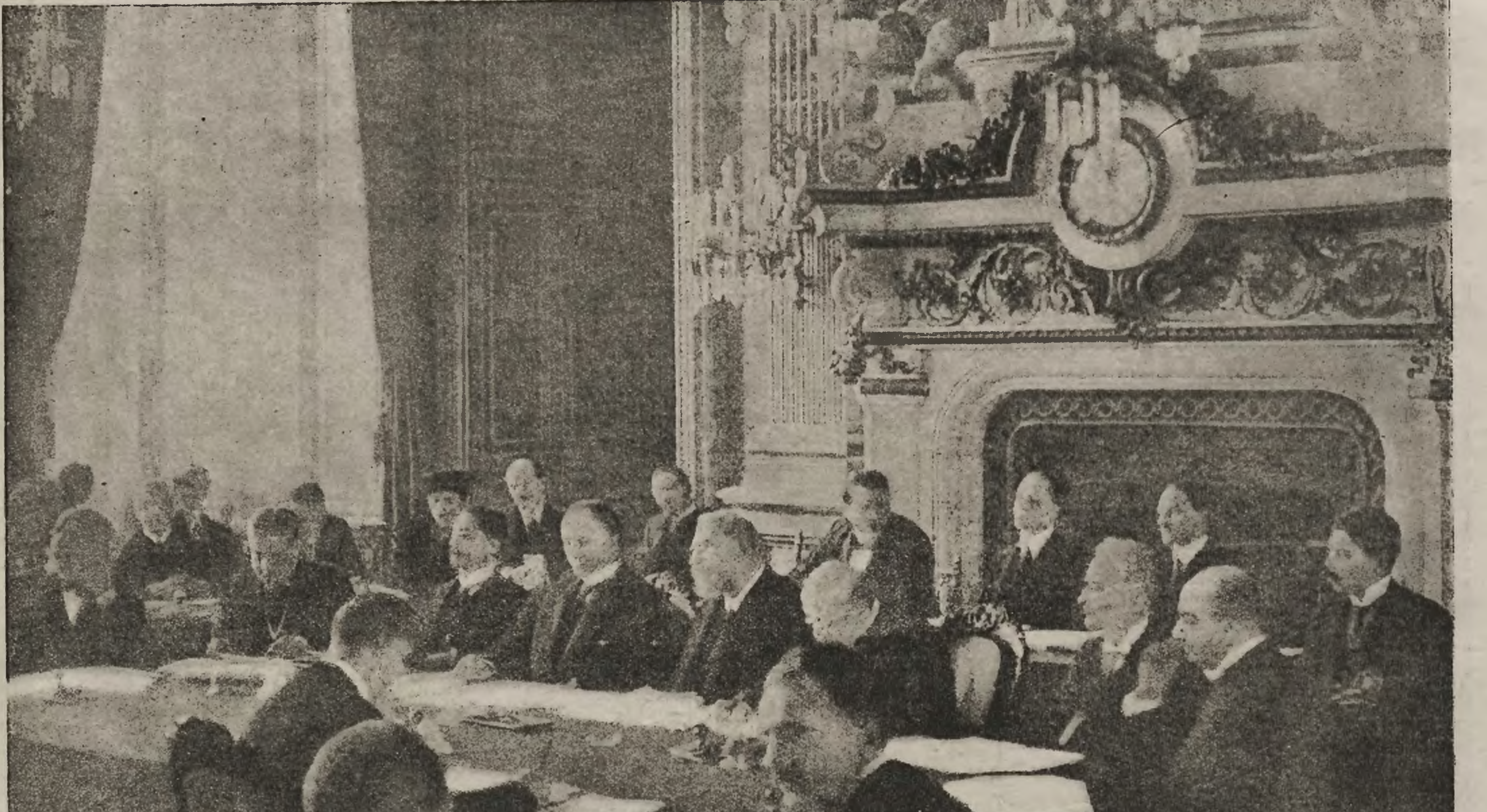
Bourgeois następnie złożył hołd sekretarzowi generalnemu Związku Ericowi Drummond, siedzącemu naprzeciw niego, a następnie odczytał porządek dzienny posiedzenia, mieszczący się w dwóch punktach: ewolucya przyszłości i konieczność poczynienia zdecydowanych środków w wykonaniu klauzul traktatu. Następnie Rada wyznaczyła trzech członków na pięciu do komisyi Sarre. W sposób dyskretny Bourgeois uczynił pewne alluzye do Ameryki. Mówił, że uznaje powody, dla których nie powzięto żadnych decyzyi w Waszyngtonie.

Następnie Ferraris zaznaczył, że w interesie Włoch jest popierać Związek i dążyć do wykonania traktatu pokojowego w najmniejszych szczegółach, wreszcie da Cunha dodał, że czuje się szczęśliwym, mogąc w imieniu Brazylii reprezentować Nową Ziemię.

Dochodziła dwunasta godzina. Wybrano jeszcze komisyę Sarry, do której wszedł w imieniu Anglii pułkownik White, Belgii kapitan Lambert, Japonii kapitan Kobayashi. Wyznaczono jeszcze delegatów ze strony Francyi i Niemiec. Następnie jednomyślnie Rada zgodziła się, że następne posiedzenie odbędzie się w Londynie; porządek dzienny wyznaczy z własnej inicyatywy L. Bourgeois. Może w tym dniu Stany Zjednoczone zajmą miejsce w Związku.



Pożar lotniska we Lwowie: Hangary po pożarze.



Pierwsze posiedzenie Ligi Narodów: Posiedzenie Ligi dnia 16 stycznia w sali zegarowej w ministerstwie spraw zagranicznych pod prezydenturą L. Bourgeois.

Marya Toczyska Segeny.

BEZ STERU

Powieść.

28

— Daj mi spokój — odburknął opryskliwie Lisiewicz. Ty chociaż nie zajmuj się podobnemi głupstwami.

— Głupstwami? — podchwyciła Niuta, czerwieniąc się ze złości

Niech tylko pani posłucha, jak to było.

— Przestań! — krzyknął Lisiewicz, zrywając się z krzesła. Już dosyć tego. Wynoś się, bo cię sam będę musiał wyprosić.

— A właśnie, że nie przestanę, niech się ta pani przekona, co to za numer. Sam mi się ofiarował, że mi da jakieś dwa kostyumy żony i ja głupia uwierzyłam mu. Niby to miał je u siebie w mieszkaniu i ja szłam z nim po nie, a tu na ulicy gdzieś mi zniknął jak kamfora. Byłam tam, gdzie mieszka ten stary bałwan, to mi powiedzieli, że się wyprowadził, a tego łobuza nigdzie spotkać nie mogłam, dopiero teraz u pani. Grubianin, bez wychowania! Pewnie, że moja noga tu więcej nie postąpi. No, winszuję pani! Jeżeli pani jeszcze tamtego draba zna, to straci pani całą robotę.

— Skończyłaś już do stu piorunów — zaklął Lisiewicz, popychając Niutę brutalnie ku drzwiom. Dalej! wychodź! Już czas, żebyś się przewietrzyła trochę.

Niuta się już nie opierała. Wysunęła się tylko zręcznym ruchem z rąk Lisiewicza, zebrała szybko przyniesione materye i idąc ku drzwiom, zwróciła się jeszcze do Janki.

— A niechże pani wyrzuci od siebie tych szakali, bo oni gotowi we dwóch na funty panią rozsprzedać! Ładne towarzystwo niema co!

Trzasnęła silnie drzwiami i jeszcze chwilę głos jej donośny rozlegał się po sieni.

Janka po wyjściu Niuty przez dłuższy czas nie mogła powrócić do przerwanej roboty. Ręce jej drżały nerwowo, a w głowie czuła tępy, ogłuszający ból. Zwiesiła więc bezładnie ramiona wpatrując się machinalnie przez okno w kamienicę, stojącą po drugiej stronie ulicy.

— A ciebie co znowu podleciało? — zapytał nagle Lisiewicz, który już kilkakrotnie spoglądał w jej stronę. Siedzisz jak mumia i ani się myślisz zabierać do robienia obiadu.

— Nie wiedziałam, że zostaniesz w domu — odparła Janka, powstając leniwie

— Widzę, że ci to nie bardzo na rękę — zaśmiał się złośliwie. Cóż cię mąż obchodzić może. Niech je, gdzie chce, byleś ty o nim nie musiała myśleć. Czuła żona!

— Odzwyczaiłeś mnie tak od swojego towarzystwa — zaczęła Janka.

— A cóż ty myślisz, że mnie ciągnie do tych rodzinnych rozkoszy! Ile razy przyjdę, to tylko wymówki, albo pogrzebowe miny. Dziwię się, żem wszystko już dawno nie puścił i nie poszedł gdzie pieprz rośnie.

Janka spojrzała uważnie na męża.

— Jeżeli ci tak źle — odrzekła spokojnie — to może rzeczywiście byłoby lepiej, abyś się nie przymuszał dłużej.

— Tak! — syknął Lisiewicz. — Chciałabyś się pozbyć męża — co? Otóż nie moja kochana! Zachciało ci się wyjść za mąż, to teraz ponoś skutki. Widzę, że za dużo daję ci wolności i zaczyna ci się w głowie przewracać. Człowiek cały dzień bruk klepie za jaką posadą i kości już nie czuje w sobie, a ta jeszcze tak przyjmuje! Poczekaj kochanko, teraz posiedzę w domu, posiedzę, będziesz mieć towarzystwo, nie odwykniesz od męża.

— Ależ ja niemam na wyżywienie ciebie Ludwiku — przelękła się Janka. Z szycia zaledwie mieszkanie opłacić mogę i coś dla siebie zostawić.

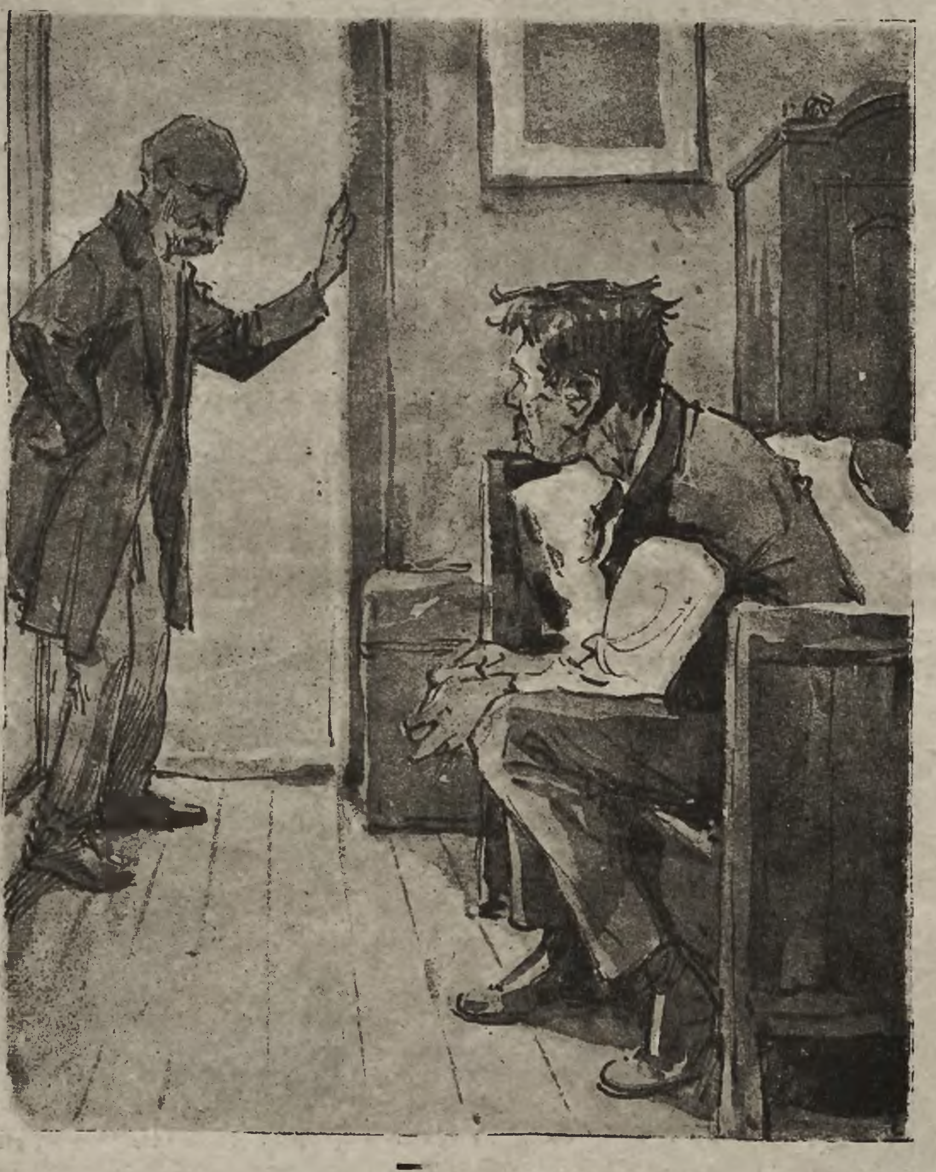
— To może ja mam pójść żebrać co? — oburzył się Lisiewicz. Czy ty myślisz, że ja jeden jestem bez posady, a przecież inne żony dają sobie radę i awantur nie robią. Niema posady dzisiaj, może być jutro. A zresztą psiakrew, nie nudź mnie, bo mnie głowa boli. Robisz ten obiad, czy nie?

— Zrobię — odparła krótko Janka, podchodząc do kąta pokoju, gdzie za firanką stały poukładane na stole przyrządy kuchenne i kuchenka gazowa, do ściany przytwierdzona.

— Lisiewicz tymczasem powlókł się do sypialni i w ubraniu rzucił się na łóżko, gdzie zasnął prawie natychmiast.

Dnia tego Lisiewicz nie wychodził z domu. Po obiedzie, przyrządzonym naprędce przez Jankę, napowrót położył się i spał bez przerwy do wieczora.

Janka przymknęła drzwi od pracowni, aby go turkot maszyny nie drażnił i zajęła się ro-



—Łajdak z ciebie i koniec

botą, rozmyślając, co będzie, jeżeli rzeczywiście Ludwik przestanie z domu wychodzić, a ona będzie zmuszona pamiętać o całodziennych jego potrzebach. Dotąd, od dłuższego czasu jadał najczęściej na mieście, tłumacząc się brakiem czasu i to było wielką ulgą dla Janki, przyzwyczajonej już do zaspakajania głodu byle czem i w chwilach wolniejszych od pilnej roboty.

Wieczorem przyszedł Łatka i zdziwił się bardzo, dowiedziawszy się, że Lisiewicz nie wychodził z domu.

— Musiało się tam coś popsuć z kompanami — rzekł do Janki. Czasem wygrał coś od nich w karty i miał chociaż na kieliszek wódki, ale teraz co pani z nim zrobi?

— Jak on mógł żyć w ten sposób — szepnęła Janka z westchnieniem. Panie Łatka, może przecież dałoby się wynaleść dla niego jakie zajęcie, choćby jakie przepisywanie w bursie, bądź co w końcu, byleby miał kilka godzin zajętych i jaki grosz na swoje potrzeby.

— A któżby królowa złota powierzył jaką robotę takiemu drabowi? Znają go tu już dobrze wszyscy. Jeżeli nie okpi, to naciągnie, nie uważając pani.

— A cóż wy tam szepczecie? — zawołał nagle Lisiewicz z drugiego pokoju. Obudziłeś mnie Łatka pijackim swoim sopranem. Otwórzcie no drzwi, bo mi się dyabelnie wstać nie chce!

Łatka drzwi otworzył i zawiązała się ogólna rozmowa.

— Czyś ty przypadkiem nie chory Ludwiczku kochanie? — żartował. Pierwszy raz odkąd cię znam na swoje nieszczęście, zastaję cię o tej porze w domu.

— Zbrzydły mi te knajpy — mruknął niechętnie Lisiewicz.

— Albo ty może królewiczu złoty obrzydłeś knajpeczkom i wyrzuciły cenną personę twoją za progi swoje?

— Przestałbyś pleść głupstwa — oburzył się Lisiewicz.

— Bo to widzisz kochanie — upierał się dalej Łatka — różnie się zdarza na świecie. Raz my na coś kręcimy nosem, drugi raz na nas kręcą. Ale co ty myślisz robić ze sobą w domu. Fastrygi żonie wyciągać będziesz, albo robotę po domach odnosić?

— Widzę, że cię już nastroiła na swoją nutę. Co będę robił? A cóż? Czy to mi nie wolno w domu posiedzieć kiedy chcę? Na to mam żonę do stu dyabłów, żeby pomyślała o mnie, kiedy jestem w kłopocie.

— Albo może ty byś pomyślał o niej Ludwiczku kochanie. Kobieta ślęczy nad maszyną od rana do nocy. Zeszczupiało to biedactwo, zmizerniało, że aż żal patrzeć.

— To się nią zaopiekuj stary bałwanie, skoro cię to tak boli! — zezłościł się Lisiewicz. Patrzcie go! obrońca. Pewnie się znowu przed tobą żaliła, bo ona to lubi.

— Wiesz co Ludwiku — odezwała się z drugiego pokoju Janka — że nigdy nie rozpowiadam, co się u nas w domu dzieje, ale jeżeli ludzie sami widzą...

— Co widzą? ciekawy jestem co widzą — zawołał Lisiewicz, zrywając się z łóżka. To chyba, że siedzisz jak malowana całemi godzinami na tym stołku i dobrego słowa nikomu nie powiesz? Skaranie boskie! Tak się ożenić to miła historya! A może ci posag straciłem? co? może wyniszczyłem? Żebyś ty była inna, tobym ja bez posady nie chodził! Ale gdzieby się takiej damie chciało iść prosić za mężem.

— Nie chodzę prosić za tobą bo uważałabym to za uchybienie dla siebie — odparła Janka, siląc się na spokój. Nie jesteś kaleką ani starcem. A w domu robię, co mogę. Szyję, chociaż się tego nigdy fachowo nie uczyłam.

Wielkie rzeczy! to zarabiasz na siebie! Przecież jeść musisz. Każda żona zarabia na swój sposób. Chyba, że posag wniosła mężowi.

— Ludwiczku kochanie — przerwał Łatka — przestałbyś mleć tym nieprzystojnym ozorem. Co tu gadać długo! Łajdak z ciebie i koniec, aniś świata bożego nie wart oglądać.

Tylko powoli, powoli królewiczu mój - dodał, widząc błysk złości, rozpalający się w oczach Lisiewicza. Mnie nie wystraszysz tymi głupimi grymasami. Lepiej się zastanów raz porządnie nad swoją marną osobą i bierz się chłopie do jakiej roboty, bo będzie źle! Kołtuńska duszyczka w tobie siedzi i aż mi dziw, że cię całkiem jeszcze nie zadusiła...

— Więc cóż chcesz, żebym robił! — mruknął Lisiewicz. Mam może, psiakrew drzewo rąbać, albo wodę nosić! Komu to morały gadać. Sameś pijaczyna i telepiesz się po świecie niewiadomo z jakiej racyi.

— Mądrześ rzekł, kochanie, wcale mądrze. Ale ty mnie wypuść z opieki swojej, bo ci nic po tem. Żebym ja miał taką żonę jak ty!... ale co tam, nie o mnie tu chodzi. Więc z tej ostatniej posady królewiątko moje wylali cię z kretesem — co?

(Ciąg dalszy nastąpi).

Nowe usiłowania przewrotu w Berlinie.

Minął rok od czasu jak w Berlinie dnia 15 stycznia doszło do poważnych zaburzeń rewolucyjnych, będących manifestem komunistycznym spowodowanym śmiercią Liebknechta i Róży Luxemburg. To też 13 stycznia w rocznicę naznaczono jako dzień wybuchu nowych przewrotów na tle komunistycznym. Policya i wojsko zarządziły poważne środki bezpieczeństwa. I rzeczywiście zdawało się, że zdecydowana pozycya unicestwiła wszystkie zamiary rewolty. Jednak spokój panujący w Berlinie wśród wzburzonych mas, był raczej pozorny i chwilowy, aniżeli trwały. Oto już w dniu 12 stycznia zauważono na mieście silne wzburzenie, tak, iż władze poczyniły daleko idące środki ochronne, celem zapobieżenia tumultom. Następnego dnia od rana poczęły się gromadzić na ulicach liczne tłumy, podniecone przez okolicznościowych mowców i agitatorów, demonstrując przeciw rządowi. Głównym powodem była nędza, powszechna drożyzna i niezadowolenie z warunków pokojowych. Kilkakrotnie przyszło do starć z policyą i wojskiem, które wystąpiło z karabinami maszynowymi. Wobec stanowczej postawy wojska i zagrożenia, że wrazie potrzeby użyje się broni, manifestanci uspokoili się nieco i poczęli rozchodzić do domów, opróżniając ulice, silnie obsadzone patrolami. Niedługo jednak trwał spokój, gdyż już około godziny czwartej po południu ukazały się na ulicach nowe tłumy manifestantów. Gdy wezwania do rozejścia się nie odniosły skutku, a tłum w odpowiedzi na nie począł obrzucać krzewicieli władzy kamieniami, urządziły konne oddziały w kilku miejscach ataki, aby rozpędzić zebranych: kilkakrotnie także użyto broni siecznej, a nawet dano salwy karabinowe. Do największego starcia przyszło na placu przed gmachem parlamentu, gdzie manifestanci, tłumnie zebrani, odpowiedzieli na atak strzałami z rewolwerów.

Ostatecznie jednak zdołano przywrócić względny spokój i rozpędzić zebrane tłumy. Liczba ofiar nie jest ściśle oznaczoną, jakkolwiek pewną jest rzeczą, że cyfra ciężko rannych dochodzi 200, zabitych około 40 osób.

Na mocy rozporządzenia władz zabroniono stanowczo wychodzić na ulicę bez specyalnego pozwolenia, wobec czego, zwłaszcza wieczorem ulice świeciły pustkami, a jedyny pozór życia i ruchu dawały liczne patrole wojskowe, przebiegające miasto we wszystkich kierunkach.

Naz jutrz rano, pomimo tak surowych zarządzeń władz, poczęły się gromadzić nowe tłumy demonstrantów, zwłaszcza w ulicach mniej strzeżonych przez patrole, wszędzie jednak zdołano je rozproszyć, tak, iż nigdzie nie przyszło do poważniejszych zaburzeń.



Nowe usiłowania przewrotu w Niemczech: Manifestanci przerywają kordon wojskowy.



Nowe usiłowania przewrotu w Niemczech: Wojska bronią przystępu do gmachu parlamentu



Nowe usiłowania przewrotu w Niemczech: Tłum zgromadzony przed gmachem parlamentu wstrzymywany przez kordon wojska i policyi.

Kronika tygodniowa.

Ostatnia kronika w karnawale, byłoby więc wskazanem, aby była wesołą, zwłaszcza że idzie w świat szeroki w sam „tłusty czwartek“.

Ale jak się weselić, skoro do tego niema powodu. Czy wyobrażał sobie kto kiedykolwiek przed wojną „tłusty czwartek“ bez pączków? Nawet natchniony poeta śpiewa o nich:

„Tłusty czwartek co rok bywa,
Każdy na pączkach używa...“

ale też pączek kosztował wówczas pięć centów i można się było zdobyć na podobny wydatek. Dziś żyjemy tylko wspomnieniami dawnych, lepszych czasów i dochodzimy do przekonania, że się przecież można obejść bez pączków. W cukierniach ich robić nie wolno, gdyż Urząd walki z lichwą jest także Urzędem walki z pączkami, w domu niema z czego, bowiem sama karta mączna, cukrowa i tłuszczowa nie wystarczy. Choćby zresztą potrzebne składniki się i znalazły, to jeden pączek kosztowałby dziś tyle, co dawniej całodzienne utrzymanie rodziny, złożonej z sześciu osób.

Zatem obejdźmy się smakiem i zacznijmy już dziś śpiewać „gorzkie żale“.

A tematu do nich nie braknie. Taka naprzykład relacya korony do marki aż się prosi, aby ją wziąć na papier, bo jest stwierdzeniem przysłowia: „Zamienił stryjek... koronę na markę...“ albo „Nie miała baba kłopotu, kupiła sobie... markę“, choć, co prawda, baby z markami kłopotu nie mają

Jak w poprzedniej kronice zaznaczyłem, sprawę ową poddałem specyalnym studyom, doszedłem przecież do przekonania, że nic nie wystudyuję, a my na tej zamianie wyjdziemy niczem... Zabłocki na mydle.

„Niech się dzieje wola nieba,
Z Grabskim też się zgadzać trzeba...“

powiada każdy z rezygnacyą, a najbardziej zrezygnowany jest ten, kto nie ma ani marek ani koron, bo nie potrzebuje sobie łamać głowy przy przeliczaniu, aby potem dojść do przekonania, że go oszwabiono.

Na pierwszego lutego wypłacono urzędnikom pensye w markach i obiecano w najbliższym czasie dodatek na pokrycie strat, jakie poniosą skutkiem zmiany waluty. Cieszą się też z tego powodu, ale nie urzędnicy, lecz kupcy i przemysłowcy, którzy korzystają z każdej podwyżki płac i podnoszą równocześnie ceny. Chwalą też pana Grabskiego, życzą mu długiego życia i zdrowia i kilku jeszcze tego rodzaju „regulacyi waluty“.

Rozmawiałem z jednym z kupców w tej kwestyi i usłyszałem z jego ust te mądre słowa:

— Ja tam, proszę kochanego pana. nie myślę bynajmniej trudzić mych gości jakiemś tam przeliczaniem koron na marki! To co dawniej kosztowało trzy korony, teraz trzy mareczki!...

Tego samego zdania jest i kamienicznik, który mówi:

— Panu dobrodziejowi nie zrobi zapewne różnicy, jeśli od kwartału będzie płacił czynsz w mareczkach, nie w koronkach!

— Pewnie, że nie! Przyjdzie to z łatwością, zwłaszcza, że magistrat wydał tabelę do przeliczania.

— Ktoby tam łamał sobie nad tem głowę. Zamiast dać czterysta koronek, da pan dobrodziej czterysta mareczek i wszystko będzie w porządku! Zresztą powiem panu w zaufaniu, że te marki to też niepewne. Na zagranicznych giełdach nie są zupełnie notowane.

Najwygodniej natomiast urządzają się baby, naturalnie wiejskie i dlatego zaznaczyłem wyżej, że one z tą zamianą mają najmniej kłopotu. Świadczy o tem rozmowa, jaką na własne uszy podsłuchałem na targu.

— A po czemu te jajka gosposiu? — pyta jakaś chuda niewiasta w wytartym żakiecie, co każe wnosić, że to żona urzędnika.

— A po dwie korony za sztukę — odpowiada poważnie zagadnięta, z miną bardziej seryo, niż kura, gdy te jaja znosiła.

— Ale ja nie mam koron, tylko marki. Ileż to będzie?

— Ja się tam na nijakich markach nie znam!... Ale niech ja już stracę! Wezmę po cztery marki za jajko!...

I tak dzieje się na każdym kroku, nie ulega zatem wątpliwości, że bardzo prędko nauczymy się liczyć na marki i przerachowywanie nie sprawi nam żadnej trudności. Rozchodzi się jedynie o to, aby było co przerachowywać i byłoby też ze wszechmiar wskazanem, aby pan minister Grabski wziął to pod swą światłą rozwagę.

Jak z powyższego przedstawienia zupełnie jasno wynika, sprawę regulacyi, względnie unifikacyi waluty można zatem uważać za załatwioną aż do czasu, gdy przyjdzie znów na porządek dzienny zmiana marek na złote polskie, co już jest zapowiedziane, niewiadomo przecież kiedy nastąpi, bo na razie drukuje się ciągle marki, aby nam gotówki nie brakło. Trzeba się zresztą spieszyć, bo papier z dnia na dzień coraz bardziej drożeje.

Na zamianie koron na marki porobili różni spekulanci bardzo piękne interesy, a pocieszają się nadzieją, że jeszcze zrobią, gdy po plebiscycie przyjdzie do regulacyi waluty na Śląsku Cieszyńskim. Na razie ulokowali tam swe „oszczędności“ i dlatego u nas taki brak gotówki.

— Ja mam czas — mówił do mnie jeden „finansista“ gdym go zapytał, czy już wymienił korony na marki — Poco ja się mam spieszyć? Ja poczekam, aż do Polski przyłączą Śląsk i jedna waluta będzie obowiązywać w całym kraju.

Czy na tem wyjdzie dobrze skarb polski, to już inna rzecz, ale ja się tak dobrze na tem nie znam, więc przechodzę nad tem do porządku dziennego, a widzę na nim bardzo ciekawy punkt „Miłość i katar“.

I ani myślałem, że znowu stoczyć muszę walkę na pióra z tym samym Autorem z *Kuryera*, co w poprzednim numerze i wyjdę z niej znowu obronną ręką, a nawet zwycięsko, gdyż Autor pokona sam siebie.

Że katar może być wrogiem miłości, to pewne i pod tym względem zgadzam się z Autorem, że nie ma w tem nic przyjemnego, gdy się chce wybranej swego serca ukraść całusa, a ona wtedy kichnie. Niejedno małżeństwo nie doszło już z tego powodu do skutku.

I to jest także stwierdzonem, że kataru można się nabawić przez pocałunek, że zatem cmokanie po rękach, zwłaszcza starych bab, nie jest wskazanem i pochwalić należy owego lwowskiego lekarza, który wydał wojnę całusom, podobnie jak minister zdrowia komarom.

Ale Autor odnośnego artykuliku w *Kuryerze* powinien był dotrwać do końca i zalecając Czytelnikom, aby się do rad owego kapłana Eskulapa stosowali, nie dodawać od siebie, że pocałunek można z łatwością zastąpić ceremoniałem powitalnym Eskimosów, to jest pocieraniem nosa o nos. Katar jest przecież, jak Autor wykazuje, wrogiem miłości, a w ten właśnie sposób najłatwiej się go nabawić. Na podobne czułości mogą sobie pozwolić tylko ludy najdalszej północy, gdzie niema ministra zdrowia, nieznany zatem jest katar, a do „linii nosa“ nikt wagi nie przywiązuje, może go więc narazić na zupełne „wytarcie“, o ile ma liczne stosunki i często się wita i żegna.

Już to przyznać trzeba, że w *Kuryerze* coraz częściej spotyka się artykuły, grożące nam zupełną rewolucyą, nie w politycznem wprawdzie tego słowa znaczeniu, gdyż na to nie zgodziłby się zapewne pan prokurator.

Za taki uważam naprzykład artykuł p. t. „Czy chcesz być piękną?“

Treść jego: Autor spotyka niewiastę znajomą i oczom nie wierzy, tak wypiękniała. Pyta ją zatem ciekawy:

— Dlaczego pani tak wypiękniała?

A ona mu na to, wywracając melancholijnie oczy:

— Bo kocham!

A proszę mi powiedzieć, czy jest na świecie bodaj jedna niewiasta, która nie chciałaby być piękną? Zatem inkryminowany artykuł w całej swej osnowie zawiera znamiona zbrodni zawracania głowy płci nadobnej, która odtąd będzie myśleć tylko o miłości!

Skutki czuję już na sobie! Nie dawniej, jak onegdaj, zbliża się do mnie Weronika i, wzdychając, rzecze słodko:

— Ach!... Ja tak chciałabym być piękną!

— Źle!... — pomyślałem sobie — Babsko widać wyczytało w *Kuryerze*, co to za cudowny środek ta miłość. A dla świętego spokoju własnoręcznie wrzuciłem numer do pieca!

I obiad teraz jakiś do niczego, niedogotowany, albo przypalony, a ona tylko chodzi z kąta w kąt, niczem duch pokutujący i wzdycha, bo... „minęły dni wiośniane i przekwitły ciała wdzięki!...“, czyli innemi mówiąc słowy, „nie pomoże blansz, ni róż, kiedy baba stara już...“ zatem nie pomoże i kochanie

Taki napozór niewinny artykulik, a ile on może narobić złego i jak niejednej białogłowie „zawrócić gitarę“.

Kochanie to zresztą rzecz przestarzała, na którą nowoczesne niewiasty mało zwracają uwagi, mając głowy czem innem zajęte. Rok 1920 ma, według zapowiedzi nowej paryskiej wróżki, pani Fraya, przynieść rodzajowi żeńskiemu takie zdobycze, że nawet gramatyka zmieni odwieczny porządek i wysunie go na pierwsze miejsce przed męski... Kobieta ma zająć wszystkie dziedziny życia i wytrącić berło z rąk mężczyzny, który zejdzie na drugi plan. Początek już zrobiony: w Anglii białogłowa została naczelnym redaktorem poważnego pisma codziennego, we Francyi zaś druga sekretarzą ministra marynarki. Jeśli dalej tak pójdzie, będziemy musieli zrezygnować z udziału w życiu publicznem, a zająć się gospodarstwem domowem i dlatego to praktyczni Anglicy założyli w Londynie szkołę gotowania, naprawiania bielizny itd., przeznaczoną wyłącznie dla mężczyzn.

Kobiety, zajęte polityką, nie będą miały czasu na takie głupstwa, jak miłość. Czy u nas przyjmie się ten kierunek i jak rychło, tego powiedzieć nie można, choć nasze panie mają już dziś więcej praw obywatelskich. niż ich francuskie koleżanki, mogą bowiem wybierać i są wybierane i to nie tylko na sali balowej. Jest ich w Sejmie mało i siedzą tam stosunkowo dość cicho, ale to może i lepiej, gdyby się bowiem rozgadały, nie mielibyśmy konstytucyi nawet i za sto lat.

Oprócz zajęć domowych zostanie nam praca umysłowa, a właśnie otwierają się przed badaczami nowo horyzonty. Telegraf bez drutu odbiera ciągle jakieś tajemnicze depesze z zaświata, co naprowadza na domysł, że i na innych planetach żyją istoty, może nawet mądrzejsze od nas i chcące się z nami skomunikować. I kto wie, czy nie doczekamy się tej chwili, o której tylko śnili nasi dziadowie i ojcowie, że każdy będzie mógł z łatwością wyjechać do swych dóbr... na księżycu, o ile naturalnie pozwolą na to nasze panie, które tymczasem ujmą cały ster władzy w swe delikatne łapki. A co się w nie raz dostanie, tego z pewnością tak łatwo nie wypuszczą.

Na razie jest przecież jeszcze po staremu, to jest, że my rządzimy światem, a nami kobiety, mąż jest głową domu, a żona szyją, która nią kręci.

To się jednak musi zmienić i to dzięki właśnie wojnie i wytworzonym przez nią stosunkom. My wyciągaliśmy z pieca gorące kasztany, a zjedzą je białogłowy. Z czasem przyjdzie i na nas kolej, że będziemy musieli zakładać towarzystwa, mające na celu zdobycie dla płci brzydkiej takich praw, jakie dawniej miała, ale sprzątły je z przed nosa kobiety.

Kto dożyje, ten się przekona, że nie tylko *madame* Fraya miała racyę, ale i kronikarz, kto umrze wcześniej, temu będzie chyba wszystko jedno, jak się tam po śmierci jego ukształtują stosunki społeczne.

A sposobności przeniesienia się na drugi świat nie brak. Mamy do wyboru dżumę, tyfus, hiszpankę, japonkę itd., a tak reklamowana „kwaśna kuracya“, mająca te zarazy odpędzić, nie zdołała sobie jeszcze dotąd zdobyć u nas prawa obywatelstwa. Gdyby bodaj można było na pocieszenie łyknąć sobie kielich przedwojennej „kwaśnej z mocną“, byłoby to doskonałem *antidotum*. Ale trudno!.. Spirytus tak poszedł w górę, że na kieliszek gorzałki może sobie pozwolić chyba paskarz, lub inny wojenny milioner, a fabryka „polskich wódek“ na Podgórzu jakoś nie daje znaku życia.

Madame Fraya zapowiada, że życie wróci na normalne tory, pocieszajmy się zatem nadzieją, że już może w roku przyszłym będziemy się w karnawale mogli raczyć pączkami, w poście zaś śledziami, a na razie... obejdźmy się smakiem!

Tak to przecież rychło, jak się kto może spodziewa, nie nastąpi, albowiem, jak powiedział filozof, wielkie rzeczy tworzą się pomału. W roku bieżącym obeszliśmy się bez pączków w karnawale, a tak się wszystko składa, że w poście będziemy się musieli wyrzec i śledzi. Choć nie pora na nie obecnie, a Urząd aprowizacyjny ogłosił, że do Krakowa nadeszło ich kilka wagonów, dalszy zaś transport jest w drodze, śledzie już zdrożały i za „marynowanego“ trzeba płacić dziesięć koron, a w miarę zaś popytu i cena ich wzrośnie.

Nasze wojska dotarły już wprawdzie do brzegów Bałtyku, możnaby więc zacząć łowić śledzie na własną rękę, nim jednak ujrzymy w handlu pierwszego polskiego śledzia, dużo jeszcze wody upłynie tak we Wiśle, jak i w Rudawie.

Cieszymy się przecież nadzieją, że będziemy mieć własne śledzie, a upust jej radości daliśmy w dniu 8. lutego, urządzając na wzór wenecki zaślubiny z morzem. Małopolska puściła swój wianek Wisłą do Bałtyku, czy on tam przecież dopłynie, tego nie wie nawet nowa paryska wróżka.

A przepowiednie jej zaczynają się spełniać.

Na rok 1920 zapowiedziała cały szereg katastrof, przeważnie kolejowych (prawdopodobnie dlatego, aby ludzie ubezpieczali się od wypadku...) i jedną, obchodzącą specyalnie nasz naród, już mamy!

Nie miała ona wprawdzie nic wspolnego z koleją, była przecież bardzo bolesną, bo dotknęła cały naród. Jak twierdzi jeden z krakowskich dzienników „jęk boleści rozległ się w całej Polsce na wiadomość o tragicznem pożegnaniu z tym światem... Baśki murmańskiej, białej niedźwiedzicy, przywiezionej do Warszawy przez wracające z północy wojsko. Padła w kwiecie wieku ofiarą zachłanności okolicznych chłopów, a „dusza jej“, jak się autor artykułu wyraził, uleciała gdzieś pod biegun i tam w przyrodzie łapie rybki i poluje na tłuste psy morskie.

Guy de Téramond.

Tajemniczy zbrodniarz.

(Tłum. Marya Toczyska).

17

Obydwa ekwipaże dojechały w ten sposób bez przeszkody aż do ulicy Druot.

Ale tutaj zdarzył się wypadek nieprzewidziany przez ajentów.

Do automobilu doskoczył policyant z rozkazem zatrzymania się.

— Proszę nam dać spokojnie przejechać! — zawołał Touffe.

— Jedziemy w służbie policyi! — nalegał Brisemiche wściekły.

Ale tamten nie raczył nawet odpowiedzieć. Już go nieraz w ten sposób wyprowadzono w pole! Znał się więc doskonale na podobnych sztuczkach.

— Słuchajże, mój przyjacielu — nalegał Brisemiche złagodzonym już głosem. — Jesteśmy w pościgu za bardzo ważnym śladem. Przez ciebie stracimy go. Puść nas! Ta twoja gorliwość zaczyna być głupia.

Policyant obrzucił bacznem spojrzeniem mówiących.

Ci ludzie w tem pięknem, luksusowem aucie mieliby być ajentami? Nie! Nie mógł w to uwierzyć.

Zresztą ironiczny uśmiech zauważony na twarzy szofera, zadowolonego z tej przeszkody, utwierdził go w tem przekonaniu.

A tymczasem zatrzymany ciąg powozów oczekujących ruszył naprzód ku bulwarom. Pomiędzy nimi zauważył Brisemiche powóz baronowej.

— A do stu tysięcy dyabłów! — zaklął energicznie. — Poczekaj bratku! Zapłacisz mi porządnie za tę zwłokę, spowodowaną twoim idyotycznym uporem!

Mówiąc to, pospiesznie szukał po kieszeniach legitymacji swojej, chcąc nią przekonać upartego policyanta, ale tenże widocznie źle pojął ten ruch nagły, bo przyskoczył bliżej jeszcze i pochwycił Brisemiche'a za rękę!

— No! dosyć już tych komedyi! — krzyknął surowym głosem. — Jeżeli słówko jeszcze piśniecie, aresztuję was za obrazę władzy i poprowadzę do najbliższego postu! Zrozumiane?

Całej tej scenie przypatrywał się od chwili człowiek jakiś, stojący na uboczu i oczekujący na opróżnienie ulicy od powozów.

Poznał on natychmiast Brisemiche'a i Touffe'a, ale uważał za niepotrzebne mieszać się do tego nieporozumienia. Policyant mógł mu również nie uwierzyć, tak, jak tamtym.

A jednakże trzeba było koniecznie ścigać tamten powóz, niknący już na zakręcie ulicy.

Nieznajomy rozejrzał się i dostrzegł w nieznacznej odległości rower porzucony przy drzwiach jakiejś nocnej kawiarni. Pozostawiając więc ajentów swojemu losowi, wskoczył na maszynę nie spostrzeżony przez nikogo i pomknął całym pędem w górę ulicy.

Na wysokości bulwaru strasburgskiego dopędził szczęśliwie powóz i jechał dalej tuż za nim, zadowolony z odniesionego rezultatu.

Tym człowiekiem, który szczęśliwy zbieg okoliczności postawił na drodze ajentów, był inspektor Lapipe.

— — — — — — — — — — — — — — — — —

Tymczasem człowiek, który na ulicy la Reine wskoczył niespodziewanie do powozu baronowej, nie tracił czasu.

Baronowa leżała z głową opartą bezwładnie na poduszkach, jakgdyby pogrążona w głębokiem uśpieniu.

Antek, gdyż to on był tym człowiekiem, przycisnął ucho do jej piersi, chcąc się przekonać, czy serce jej funkcyonuje w prawidłowy sposób i szepnął lekko zaniepokojonym głosem:

— Czy ja jej tylko nie dałem za wiele chloroformu? Gdyby mi tak klapła teraz, ładniebym wyglądał! Zarobiłaby się ładna historya, niema co mówić!

Po pewnej chwili, sznurem wyciągniętym z kieszeni, związał ręce i nogi uśpionej, nałożył chustkę na jej usta z obawy, by nie krzyknęła niepotrzebnie i owinął ją całą w szeroki płaszcz czarny, chcąc zakryć jej jasną suknię i futro przed oczami ciekawych przechodniów, dosyć licznie jeszcze pojawiających się na bulwarach.

Ale kiedy przy tych wszystkich czynnościach baronowa dalej nie dawała żadnego znaku życia, Antek zaczął się już naprawdę niepokoić.

— Ładniem się urządził — mruczał. — Robota godna Asów kierowych z Menilmontant!

Banda „Asów kierowych" nosiła tę nazwę z tej przyczyny, że każden z jej członków miał na lewej ręce wytatuowany duży znak czerwony w kształcie serca.

Banda ta wzbudzała postrach ogólny. Składała się ona z ludzi gotowych na wszystko.



.... wszystko udało się znakomicie.

Pogardzając banalnemi nocnemi napaściami i czajeniem się na opóźnionych przechodniów, piaktykowała tylko na wyższą skalę, rabunki przy pomocy chloroformu, szantaż zręczny i grabież klejnotów i banków. Ażeby stać się członkiem tej bandy, należało dać przykład wyjątkowej odwagi, zimnej krwi i zręczności. To też marzeniem wszystkich rzezimieszków wałęsających się na bruku paryskim, było należeć do niej już to dla chwały, już to dla wyjątkowego zysku.

Założona była przez człowieka, którego nazywano Markizem, z powodu wybitnej jego elegancyi, którą potrafił zachować pomimo swojego upadku.

Należał zresztą do doskonałej rodziny i doszedł do tego, czem był obecnie, przez różne nadzwyczajne przejścia, staczając się powoli z dnia na dzień w coraz to większą otchłań nędzy moralnej i zepsucia.

On to planował i organizował wszystkie ekspedycye, prowadząc je osobiście najczęściej, kiedy przedstawiały rezultat pewny i dobry.

Zręcznością i tą sławą, która otaczała go jak aureolą, potrafił zjednać sobie sprzymierzeńców po świecie całym i ci donosili mu i uprzedzali o wszystkich bardziej interesujących sprawach do rozpatrzenia.

Jednem z takich przedsięwzięć, do których właśnie należał Antek, było sprawą oddawna już przewidzianą i tak zuchwałą, że Markiz dłuższy czas namyślał się, czy przystąpić do niej. Po długiem i skrupulatnem badaniu szczegółów najdrobniejszych, urządził w ten sposób, że pewnym był, iż znikąd żadna przykra niespodzianka spotkać go nie może.

W tym celu więc mały Mac, jeden z jego pomocników przy pomocy Ziri-Muchy upił stangreta baronowej, przebrał się w jego liberyę i zajął jego miejsce na koźle powozu. Wielki Julek zaś ukrył się w hali Teatru Francuskiego, i stamtąd upewnił się, że baronowa dnia tego miała na sobie wszystkie swoje drogocenne klejnoty. Następnie, Antek po wyjeździe baronowej z teatru, w pewnej chwili dogodnej wskoczył do jej powozu i chusteczką skropioną chloroformem ubezwładnił ją zupełnie.

Wszystko udało się doskonale, według przewidywań szefa bandy „Asów kierowych" i powóz uwożący baronową, zdaną na łaskę bandytów, szybkim pędem toczył się w stronę Menilmontaut.

Ulica Ramos, tak jak zazwyczaj, pusta była i cicha, kiedy Antek zatrzymał się przed hotelem pod „Czarnym kotem", gdzie był punkt zborny całej bandy.

Antek zeskoczył na trotuar, a Markiz i Wielki Julek, śledzący jego przyjazd z za okna jednego pokoju, zbiegli szybko na jego spotkanie.

— Masz ją? — zapytał Markiz niespokojnie.

— Pewnie! śpi jak zabita! Czy dobrze się sprawiłem?

— Dobrze. Ty — zwrócił się do małego Maca — skryj powóz i konia u matki Patri... i czekaj tam moich rozkazów. Dam ci znać, kiedy cię potrzebować będę. Powóz oddalił się i zniknął wkrótce w ciemnościach nocy. Markiz przy pomocy Antka i Wielkiego Julka wyniósł ostrożnie baronową ciągle jeszcze uśpioną, do zajętego przez niego pokoju i ułożył na łóżku.

— A tutaj, czy wszystko w porządku? — zapytał Antek towarzyszów.

— Żaba zajęła się hotelarzem. W tej chwili zabawiają się w najlepsze i niema obawy, żeby nam kto przeszkodził — odpowiedział Markiz. — Teraz zajmiemy się tem, aby ona nas nie mogła poznać kiedyś przy sposobności. Pomalujcie sobie trochę twarze.

Mówiąc to podał wspólnikom talerzyk napełniony sadzą.

— A teraz możemy ją już obudzić — dodał po chwili, kiedy wszyscy trzej zmienieni byli do niepoznania.

Odrzucił zachloroformowaną chusteczkę, założoną na usta baronowej i roztworzył szeroko okno. Fala ostrego powietrza wpłynęła do pokoju orzeźwiającem tchnieniem.

Ciężki oddech uniósł pierś baronowej, nieruchome dotąd jej ciało drgnęło kilkakrotnie i w końcu otworzyła oczy, spoglądając przed siebie osłupiałym wzrokiem.

— Gdzie jestem? — szepnęła po chwili osłabionym głosem, nie zdając sobie jeszcze sprawy co się z nią działo.

Nagle spostrzegła czarne twarze mężczyzn, przyglądających jej się w milczeniu i uczuła ucisk sznurów, krępujących jej nogi i ręce.

Twarz jej zbladła jeszcze silniej i z piersi jej wybiegł zduszony okrzyk trwogi.

— Pani baronowo! — wystąpił wówczas Markiz, składając jej ukłon głęboki — proszę się nie lękać. Jesteśmy tu wszyscy ludźmi dobrze wychowanymi. Nie stanie się tu pani nic złego i zachowamy wszelkie względy należne pani... tylko musi się pani zgodzić na krótką z nami rozmowę...

— Zamknij okno mój przyjacielu — zwrócił się do Wielkiego Julka.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Powrót jeńców niemieckich z Francyi: Wsiadanie do pociągu.



Powrót jeńców niemieckich z Francyi: Przybycie jeńców na dworzec św. Andrzeja w Lille.

Powrót jeńców niemieckich z Francyi.

Bezpośrednio po ratyfikacyi warunków pokojowych z Niemcami, wydał Clemenceau rozporządzenie wypuszczenia z niewoli jeńców niemieckich, przytrzymywanych w różnych miejscowościach na ziemi francuskiej, polecając równocześnie odnośnym władzom pośpiech i unikanie wszelkiej zwłoki. Wykonując powyższe zlecenie przygotowano do tego celu cały szereg specyalnych pociągów składających się z wagonów II, III, i IV klasy, którymi przewożono jeńców do granicy. Pierwsza partya jeńców znalazła się już w dniu 27 stycznia b. r. na dworcu kolejowym św. Andrzeja w Lille; w ślad zaś za nią wyruszyły inne, wszystkie należycie wyekwipowane i zaopatrzone dostatecznie w żywność. W czasie powrotu do ojczyzny jeńcy uprzyjemniali sobie podróż śpiewem i wspomnieniami krwawych lat ubiegłych, z niecierpliwością jednak oczekując przybycia do upragnionego celu. Wielu z nich wiozło z sobą liczne pamiątki pobytu we Francyi, jak fotografie i rysunki miejscowości, które w ich życiu tak ważną odegrały rolę.

W ślad za pierwszą partyą wyprawiono dalsze. Naturalnie przewóz wszystkich jeńców niemieckich potrwa czas dłuższy i pomimo znanej sprężystości oraz energii władz francuskich ostateczny termin jego ukończenia nie da się na razie nawet w przybliżeniu oznaczyć.



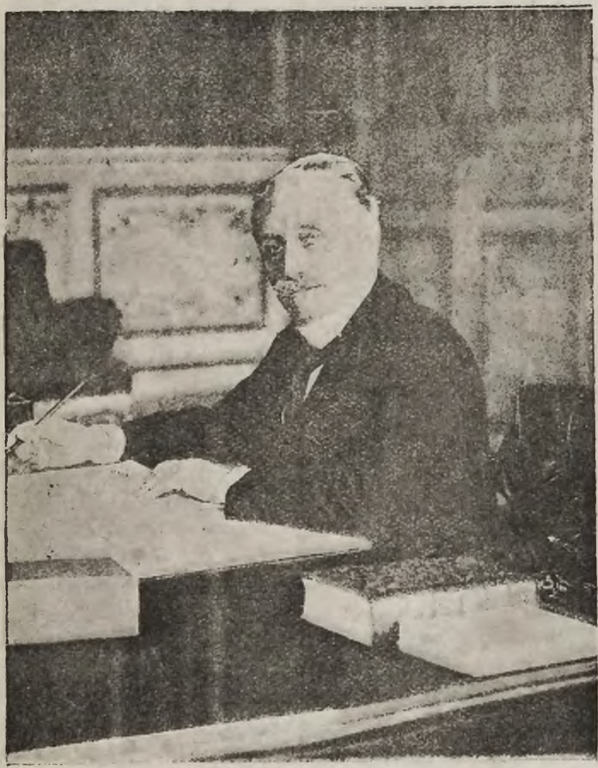
Powrót jeńców niemieckich z Francyi: Pierwszy transport w drodze przed odjazdem



Powrót jeńców niemieckich z Francyi: Transport jeńców przed odjazdem.

Wybór prezydenta Francyi.

Siedmnastego stycznia zebrał się w Wersalu Senat i Izba deputowanych na Zgromadzenie narodowe, aby wybrać następcę Raymonda Poincare'go, którego czas urzędowania kończy się 18. lutego. Na 868 wyborców 734 głosów padło na Pawła Dechanel'a, prezydenta Izby deputowanych, który w ten sposób został wybrany przy pierwszem głosowaniu. Był to rzeczywiście wybór tryumfalny, albowiem nigdy przedtem na nowego prezydenta, nie padła tak ogromna większość głosów. Szczęśliwa wróżba. Przy wyborach bowiem wielka dobra wola, łączność i wspólnota myśli całej Francyi w chwili,



Wybór prezydenta Francyi: Paweł Deschanel nowy prezydent Francyi.

kiedy potrzeba tyle zrozumienia bieżących wypadków i tyle wytrwałej pracy.

Sukces P. Deschaneta z góry był przewidziany. Dłuższy czas pewną rozbieżność powodowała niepewność, czy Clemenceau nie wystąpi ze swoją kandydaturą, zwłaszcza, że zwolennicy jego występowali z ogromną energią w obronie jego, pragnąc koniecznie kandydaturę przeprowadzić.

W wieczór bilet wysłany przez prezydenta Rady rozwiał niepewności. Clemenceau oświadczał, że nie podtrzymuje swojej kandydatury. W ten sposób sytuacya się wyjaśniła. Naturalnie, że wobec kandydatury Clemenceau nie mógłby nikt stanąć jako kontrkandydat, pamiętając jego zasługi, poniesione dla Francyi, dla której nie szczędził sił i gorącej pracy.

Około godziny 1·30 w dzień wyboru L. Bourgeois prezydent odczytał przed Zgromadzeniem narodowem artykuły konstytucyjne. Po załatwieniu jeszcze pewnej ilości formalności przystąpiono do wyborów.

Tymczasem w kuluarach rozeszła się wiadomość, w tymczasowej roli zastępcy Clemenceau. Parlamentarzyści, którzy się tutaj niedyskretnie wcisnęli zajęli miejsce koło okna. Zewnątrz sali zgromadziły się olbrzymie tłumy, poto tylko, aby widzieć odległe głowy i usłyszeć niewyraźny odgłos mów.



Wybór prezydenta Francyi: Paweł Deschanel po wyborze opuszcza Wersal.

że pewna ilość stronników Clemenceau postanowiła w uznaniu jego zasług postawić wniosek, wyrażający dla prezydenta słowa uznania i objawy wierności dla jego idei. Wniosek ten, który miał uchwalić Senat i Izba, wyrażał staremu prezydentowi Rady „dla jego zasług dla Ojczyzny" wysokie poszanowanie i podziw. Wniosku tego jednak nie ratyfikowało Zgromadzenie narodowe, uważając go za niekonstytucyjny.

Około godziny 3·30 po południu nie ulegało już najmniejszej wątpliwości, że Deschanel zostanie wybrany. Obliczenie głosów potwierdziło przypuszczanie. Wkrótce przybył nowy prezydent i ze zgromadzonymi udał się do salonu bardzo wystawnie urządzonego, mimo szczupłości apartament przepyszny: był to salon Prezydenta Zgromadzenia.

Paweł Deschanel zajął miejsce przed stołem, ustawionym na środku sali, między Leonem Bourgeois, który go tu wprowadził, a Nail'em kanclerzem, wiceprezydentem Rady, który występował

Leon Bourgeois wziął następnie z rąk Bonet Maury'ego, sekretarza prezydyum Senatu piękny welin o złoconych brzegach: był to autentyczny akt stwierdzający rezultat wyborów, podpisany przez prezydenta Zgromadzenia narodowego i zaopatrzony we wielką pieczęć państwową. Tekst brzmiał jak następuje: „Zgromadzenie narodowe Rok 1920. Wynik głosowania na posiedzeniu Zgromadzenia dnia 17. stycznia 1920. Rezultat głosowania Zgromadzenia narodowego, na posiedzeniu 17. stycznia 1920 był ten, że Zgromadzenie mianuje p. Pawła Deschanela, prezydenta Izby deputowanych, prezydentem Republiki francuskiej na przeciąg siedmiu lat od dnia, kiedy mandat prezydenta upłynie. Dano w Wersalu 17. stycznia 1920. Prezydent: Leon Bourgeois". Następnie w obecności prezydenta nowego oddano dwa egzemplarze tego aktu do archiwum.



Wybór prezydenta Francyi: Po wyborze: nowy prezydent Francyi i L. Bourgeois opuszczają salę wyborczą.



Wybór prezydenta Francyi. Żona i troje dzieci nowego prezydenta.

Robert Hichens.

BERBERYJSKIE KOZY.

(Tłumaczenie z angielskiego).

4

— Allah! Allah! — krzyczał wymachując kijem. — Allah! Al...

Lady Wyverne przytuliła się do spahisa. W podnieconej swej wyobraźni widziała w tem dziwnem zjawisku jakiegoś mesyasza, skazującego ją na potępienie. Drżała, kiedy zatrzymał się przed nią i jego duże, błędne oczy wpatrzyły się w nią z wyrazem ponurego zdziwienia.

— Co... to... znaczy?... — zaczęła jąkając się.

— To tylko szalony marabut — odrzekł spahis otaczając ją ramieniem.

— Szalony marabut?

— Był bogatym człowiekiem, mieszkał we wsi Akbara i zakochał się w tancerce z Beni-Mora. Pewnej nocy podczas wyścigów tancerka została zamordowana dla swych klejnotów przez jednego jeźdźca z Tuggurt. Od tej pory dostał obłędu. Nigdy nie przebywa pod dachem, jada tylko to, co mu dadzą do ręki, śpi na ziemi. W nocy chodzi i szuka zmarłej dziewczyny, wołając do Allaha, żeby mu pomógł. Allah! Allah!

Głos spahisa przeszedł nagle w głośny okrzyk. Natychmiast marabut zaczął znów wymachiwać kijem.

— Allah! — wołał — Allah! Allah!

I podążył w pustynię.

— Widzi mordercę w każdym promieniu księżyca — rzekł spahis.

— Dlaczego nie w nas? — zapytała Lady Wyverne z drżeniem.

— Kto wie dlaczego? Kto może czytać w duszy szaleńca?

Marabut znikł w oddali i nagle Lady Wyverne uczuła otaczające ją ramię. Poruszyła się szybko i ramię opadło. Lecz wracając do hotelu zdawało się jej, że wciąż je czuje, jak się czuje magnetyczną rękę potężnego hypnotyzera jeszcze długo po przebudzeniu.

V.

Tej nocy, leżąc bezsenna w łóżku i mimowoli wsłuchując się w szum rzeki, Lady Wyverne doznała takiego wewnętrznego niepokoju, jakiego jeszcze nigdy nie czuła. W łatwem, lecz nie rozwiązłem, życiu, jakie do tej pory prowadziła, rządziła się zawsze kaprysem, a kaprys ten prowadził ją na kwieciste ścieżki oblane światłem, nigdy jeszcze nie zawiódł w tajemnicze głębie ciemności i smutku. Nieraz miewała uczucia nagłe, nigdy namiętne. Bywała upartą, lecz nie gwałtowną, miała naturę fantastyczną, lecz nie burzliwą. Wiedziała jednak, że kobiety miewają tajemnice, które burzą i mącą gładką powierzchnię ich światowego życia, że niespokojny duch może zaprowadzić dalej, niż się iść zamierzało. Lubiła zmianę, to prawda, lecz taką pełną przyzwoitości zmianę; porzucić Mayfair dla rue de la Paix, szkockie wrzosowiska dla Monte Carlo. Nagle życie to wydało się jej arlekinadą, w której odegrywała rolę Kolombiny i doznawała gwałtownej chęci czegoś zupełnie innego, a ponieważ to było niemożliwe, czuła się nieszczęśliwą. Nowością dla niej było spotkać się z tym wyrazem — niemożliwe. Miała wrażenie zniewagi, wszystkie kwiaty jej małego królestwa zwarzyły się, była jak dziecko, napierające się gwiazdki z nieba. Lecz była dzieckiem, któremu tę gwiazdkę dano i dadzą znowu, więc gdzież była niemożliwość, nad którą się zastanawiała? Tkwiła w niej samej, ona ją stworzyła.

Zdawało się jej, że wraz z szumem rzeki dochodzi ją przygłuszony krzyk szalonego marabuta, szukającego w promieniach księżyca zamordowanej dziewczyny. Był to krzyk dzikiego świata, na którego progu stanęła. Człowiek w szkarłatnym płaszczu i ten drugi w zielonej szacie byli dla niej jego uosobieniem, jeden jako opiekun, zasłaniający ją przed niebezpieczeństwem, drugi przychodzący jakby z zamiarem napaści na nią, a później, zaniechawszy go znikający w dali. Tej nocy te dwie postacie wydawały się jej bardziej realne, bardziej żywotne niż postać jej męża.

Spahis wymówił słowa: „berberyjskie kozy" z ironią, którą zrozumiała i która znalazła echo w jej duszy. A przecież nie miała najmniejszej wątpliwości co do uczuć swego męża. Kochał ją bezgranicznie, broniłby jej przed całym światem, całe życie spędziłby na kolanach przed nią, gdyby tego pragnęła, lecz był — „poczciwym Crumpet", zwykłym człowiekiem bez żadnej tajemniczości.

Wciągnęła powietrze, jakby coś wąchając. Myślała o perfumach, których zapach wydzielał się z płaszcza spahisa, były częścią jego i tej krainy, którą zamieszkiwał. Uważałaby za zniewieściałego każdego uperfumowanego mężczyznę Zachodu, lecz to i wiele innych rzeczy były łatwe do przebaczenia w człowieku Wschodu. Oni są inni, ci synowie słońca. Ta odmienność właśnie podnieciła ciekawość i coś innego jeszcze w Lady Wyverne. Zapach i dziecinny głos, rewolwer gotów by ją bronić, ramię jak stal pod szkarłatnym płaszczem, czarne oczy, przenikliwe jak oczy sokoła lub aksamitu uczuciem — poruszyła się niespokojnie w łóżku. Było jej gorąco i nie chciało się spać. Kim był ten człowiek? Jaką miał naturę, łagodną, czy barbarzyńską? Jego sposób bycia był bez zarzutu nawet w chwilach zuchwałości. A jego serce? Czy był okrutnym względem kobiet?

Wiedziała wszystko o Crumpet po półgodzinnej z nim rozmowie. Odczytała go jednem spojrzeniem, odgadła jego upodobania, słabostki, cnoty i wady. Anglia wychowuje takich ludzi dla tradycyi, ażeby żyli i umierali Anglikami do szpiku kości. Crumpet był prawdziwym Anglikiem, poczciwym człowiekiem, któremu można było zaufać. Zaufała mu więc, wyszła za niego i miała dobre życie. Lecz teraz, czego właściwie chciała?

Nie mogąc dłużej leżeć, wstała. Mając zamiar przepędzić tylko jedną dobę w El-Akbora, odesłali służbę z cięższymi kuframi do Beni-Mora. Bawiła ją myśl, że będzie się obchodziła bez panny służącej. Szukała ze świecą swych pończoch i pantofli, a kiedy je znalazła, owinęła się futrzanym płaszczem, wyszła na werandę i zaczęła się po niej przechadzać. Przeszła raz i drugi pod oknem męża, zatrzymała się przed nim namyślając się, czy nie wejść do pokoju, obudzić Crumpet i powiedzieć mu, żeby dał pokój berberyjskim kozom, a zabrał ją do Beni-Mora. Lecz znowu zaczęła chodzić tam i napowrót, mówiąc sobie, że byłoby niegodziwością budzić zmęczonego człowieka, tak smacznie śpiącego, gdyby tylko Crumpet nie chrapał.

Księżyc bladł, gościniec stracił swą srebrzystą powłokę i poszarzał, czyniło się chłodniej. „Berberyjskie kozy", szepnęła do siebie Lady Wyverne.

Znowu zatrzymała się przed oszklonemi drzwiami męża, lecz tym razem otworzyła je i weszła cicho do pokoju. Słaby promień, który się za nią wśliznął, ukazał jej łóżko i leżącą na nim postać. Dotknęła się swą małą ręką.

— Crumpet!

— A — ah!

Chrapanie ustało i z ust śpiącego człowieka wyszło ciężkie westchnienie, jakby protest. Lady Wyverne trąciła go.

— Crumpet!

— Chr — oh!

— To na nic. Obudź się!

Sir Claude poruszył się tak, że łóżko zatrzeszczało, podniósł się, znowu opadł, otworzył oczy i spojrzał.

— Czy to — a — ah! — czy to Achmed?

— Nie, to nie Achmed. Zbudź się.

— Kto u li — Wyciągnął rękę i trafił na jej rękę i twarz. — Kitty! Co się stało? Czyś nie chora?

— Nie.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Od Redakcyi.

Zwracamy uwagę P. T. Czytelników, że jedynie ci są uprawnieni do ubiegania się o nagrody, którzy nadeślą rozwiązania **wszystkich** zagadek.

Zagadki do nagrody.

Zadanie do uzupełnienia.

Ułożył E. K., Kraków.

Uzupełnić podane wyrazy. Litery, wstawione w miejsce kresek, czytane z góry na dół, podadzą rozwiązanie.

awa
k — ra
e'a
L — na
— ama
E — ma
— ola
k — la
— oło
a — ka
— dam
l — ga
— oga
k — ty.

Łamigłówka.

Ułożył J. Z., Kraków.

W każdym wyrazie zmienić jedną literę, aby powstały wyrazy o zupełnie innem znaczeniu. Litery zmienione podadzą nazwisko hajdamackiego atamana.

Lem, raj, kur, cap, dar, sek, lis.

Trójkąt magiczny.

Ułożył J. K. F., Kraków.

Kwadraty i kreski zastąpić odpowiedniemi literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd pionowy i poziomy utworzy pierwszą literę imienia i nazwisko polskiego poety.

■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■
■ — — — — — — —
■ — — — — — —
■ — — — — —
■ — — — —
■ — — —
■ — —
■ —
■

Znaczenie wyrazów: 1) Szukany wyraz. 2) Miasto na Węgrzech. 3) Miasto w Galicyi wschodniej. 4) Znana j rzyna. 5) Rzeka w Polsce. 6) Jeden z proroków izaelskich. 7) Miara długości. 8) Przyimek. 9) Samogłoska.

Grzebieniówka.

Ułożył Kazek Kr., Kraków.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby w szeregach pionowych powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Rząd poziomy utworzy nazwę miasta, znanego z dziejów starożytnych.

■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■
— — — — —
— — — — —
— — — — —
— — — — —

Znaczenie wyrazów: 1) Ryba. 2) Poeta polski. 3) Grupa wysp na oceanie Atlantyckim. 4) Kraj w Azyi. 5) Imię żeńskie.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania dwie nagrody: 1) W. Przybyszewskiego „Czerwona mara" (powieść) 2) **paczkę papieru listowego (25 arkuszy i tyleż kopert).**

Rozwiązanie zagadek z Nru 5.

Logogryf. Koper, kreda, Satyr, Karol, dżuma, Pasek, Kaset, kreta, kwas, Mnich, kacap, pazur.

Zadanie do uzupełnienia. Jota, Adam, dola, waga, Iran, gama, Atos, Idzi, jawa, agat, góra, igła, Emil, Łada, łowy, opal.

Zadanie do uzupełnienia. 1) Za prawdę ludzie giną. 2) Sen mara, Bóg wiara.

Dobre rozwiązania nadesłali pp.: J. Voss Kraków, W. Polocka Jasło, K. Zaleski Warszawa, J. Korytowski Przemyśl, L. Kołodziejski Częstochowa, W. Guzik Lwów, T. Malinowski Bochnia, H. Sapeski Poznań, Z. Radziszewski Warszawa, L. Ostrowski Sandomierz, J. Jaworski Lwów, E. Dembiński Piotrków, M. Kamiński Zakopane, S. Jaglarz Kraków, J. Więckowska Tarnopol, W. Kalinowski Nowy Sącz, R. Bednarski Zakopane, Z. Popiel Kraków, M. Tarczyńska Warszawa, A. Kwaśniewski Poznań, T. Band owski Lwów, M. Dudek Stanisławów, H. Domagalska Boiki, H. Bukowski Kraków, O. Maciejowski Zakopane, K. Wilczyński Jarosław, Z. Gartner Lublin, T. Jasiewicz Piotrków, H. Brodzińska Stanisławów, S. Dworzański Kraków, F Wierzbicki Sanok, B. Siewarga Bochnia, F. Jamiński Tarnów, A. Gross Podgórze, W. Bogusz Kraków, M. Sperling Lwów, H. Kozłowski Lublin, S. Czernicki Warszawa, D. Kochanowska Łódź, K. Liberek Kraków.

Nagrodę przez losowanie otrzymali: 1) D. Kochanowska Łódź (książka). 2) A. Kwaśniewski Poznań (papier listowy). Upraszamy o nadesłanie 75 hal. na koszta poleconej przesyłki nagrody.

Odpowiedzi Redakcyi.

WP. J. Misiewicz Piątkowa. Rozwiązania nadchodzą stale z całotygodniowem opóźnieniem.

WP. Cz. Kozłowski, Warszawa. Umieścimy po wyczerpaniu zapasu, jaki posiadamy w redakcyjnej tece.

WP. K. B., Lwów. Wielką Szaradę konkursową z główną nagrodą tysiąc koron w gotówce ogłosimy już w następnym numerze (z dnia 20 lutego 1920).

ALBUM LEGIONÓW POSKICH Cena 4 K

Do nabycia w Administracyi „Nowości illustrowanych“.

WSZYSCY PIJĄ

STAROPOLSKI



W ORYGINALNYCH BUTELKACH.

Jedyny najtańszy dom handlowy

IGNACY CYPRES

Kraków, ulica Szewska L. 13/30 N. I.



poleca niklowy system Roskopf 70 kor. Budzik o 2 dzwonkach 100 kor. Skrzypce ze smyczkiem 200 kor. i wyżej. Harmonie wiedeńskie model. jednorzędówka 250 kor., dwurzędówka 400 kor. Trąby akordeonowe 40, 50, 60 kor. Dyamenty do szkła 70, 100 k. Brzytwy 30. 50, 60 kor. Maszynki do włosów 40, 65, 95 kor. Maszynki do sa.nogolenia 40 kor. Kamień do brzytwy 7 kor. Pas 14 kor., Pudła do skrzypiec kor. 80 150. Wysyłka za zaliczką. Cennik illustrowany za nadesłaniem 2 kor. przekazem.

Potrzebny

uczeń

do

do drukarni

Nowości Illustrowanych.

Kino Wanda

przy ulicy św. Gertrudy L. 5.

Co trzeci dzień nowy program.

Drukarnia D. E. Friedleina

w Krakowie, ul. Kazimierza W. 95. Tel. 479

zaopatrzona jest w wielką ilość czcionek różnego kroju i maszyny pospieszne. Wykonywa wszelkie roboty w zakres drukarstwa wchodzące: broszury, cenniki, katalogi, cyrkularze, afisze, tabele i t. p. szybko i starannie, po cenach umiarkowanych.

Własny

WYRÓB BLOCZKÓW

inkasowych, biurkowych, kieszonkowych poleca po cenach nader przystępnych

Administracya Nowości Illustr., Kraków, Kazimierza W. 95. Próbki wysyła się za nadesłaniem 13 koron.

POLECAMY

TYGODNIKI FACHOWE:

KUPIEC,

DROGERZYSTA,

PRZEGLĄD WŁÓKNISTY,

DOM GOŚCINNY.

Każde pismo 6 Mk kwartalnie.

Adres: Kupiec, Towarzystwo z ograniczoną poręką, Poznań.

Kupuję i sprzedaję



złoto, srebro, brylanty, perły, wszelką biżuteryę nową i antyczną, zegary i zegarki oraz sztuczne zęby. — Płacę najwyższe ceny.

Zakład zegarmistrzowski i jubilerski

JÓZEF CYWNKIEWICZ, KRAKÓW, UL. SŁAWKOWSKA L. 1.

ŹRODŁO ZAKUPU! — WAŻNE DLA SKŁADNIC I KÓŁEK ROLNICZYCH!

PRZYBORY DO KRAWIECZYZNY jako to: nici, igły, taśmy, bawełny, guziki — **POŃCZOCHY** damskie i dziecinne — **SKARPETKI** męskie — **RĘKAWICZKI** damskie i męskie — **KOŁNIERZYKI** męskie — **PERFUMY i MYDŁA.**

Dla Składnic i Kółek rolniczych po cenach hurtownych

poleca firma

E. OSTASZEWSKI i E. MAYER

KRAKÓW, RYNEK GŁ. L. 5., Telefon 2435.

ADMINISTRACYA Nowości Illustrow.

odsprzedaje klisze cynkowe

z każdego numeru po połowie ceny własnych kosztów.

Dostawca Klinik Uniw. Jag., Szpitali krajowych, wojskowych, Sanatoryów, Lecznic itp.

STANISŁAW BARAN I SKA

KRAKÓW, UL. SŁAWKOWSKA L. 6.

MAGAZYN INSTRUMENTÓW LEKARSKO-NAUKOWYCH

Instrumenta chirurgiczne, wszelkie artykuły sanitarne dla szpitali i aptek. Szkło laboratoryjne, przybory gumowe, wstrzykawki itp. Generalny skład mikroskopów i aparatów ZEISSA, Jena dla aptek i drogueryi.

Jen. zastępstwo na całą Polskę fabryki bandaży, opasek brzusznych, suspensoriów, aparatów ortop. „Ortoproban“ Wiedeń

CENY HURTOWNE! WŁASNY WARSZTAT NAPRAW. OBSŁUGA FACHOWA.

W Administracyi Nowości Illustr. jest do nabycia

Księga pamiątkowa wielkiej wojny

(Kalendarz z 191415.-16 r.) Cena 8 kor.

ODPADKI PAPIERU DO SPRZEDANIA.

Wiadomość w Administracyi Nowości Illustrow.

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: M. Lipińska. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina. Pod zarządem Stefana Karczmarskiego.